

Biuletyn Instytutu Zachodniego



Nr 167/2014
17'07'14

INSTYTUT ZACHODNI
im. Zygmunta
Wojciechowskiego
Poznań

Autor:

Jadwiga Kiwerska

Redakcja:

Marta Götz

Radosław Grodzki

Krzysztof Malinowski

Korekta:

Hanna Różanek

Porażka Obamy na Bliskim Wschodzie

Jest niemal truizmem stwierdzenie, że Stany Zjednoczone od wielu lat odgrywają kluczową rolę w działaniach dyplomatycznych na Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w odniesieniu do konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Można powiedzieć, że od przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku USA stanowiły swego rodzaju katalizator postępu w bliskowschodnim procesie pokojowym. Choć decydujące znaczenie miała wola i gotowość do kompromisów bezpośrednio uwikłanych w konflikt stron – żydowskiej i palestyńskiej, to jednak trudno nie dostrzec, jak wiele zależało od zaangażowania Waszyngtonu. Efektem amerykańskiej aktywności były znaczące sukcesy bliskowschodniego procesu pokojowego za prezydentury Billa Clintona, uwieńczone powstaniem Autonomii Palestyńskiej na znacznej części obszaru przekazanego przez Izrael.

Nawet George W. Bush nie ustawał w wysiłkach, aby doprowadzić do istotnych rozwiązań pokojowych i mimo wszystko przejść do historii nie tylko jako przywódca, który wywołał nieszczęsną wojnę w Iraku, ale również architekt trwałego porozumienia między Żydami a Palestyńczykami. Jednak pozycja i wiarygodność polityczna Busha na arenie międzynarodowej, a zwłaszcza w świecie muzułmańskim były pod koniec jego urzędowania tak słabe, że znikła moc sprawcza Waszyngtonu. Zresztą region bliskowschodni pisał własne scenariusze – na finiszu prezydentury Busha doszło do tragicznej w skutki izraelskiej operacji militarnej w Strefie Gazy, której celem było rozbitcie radykalnego *Hamasu* i która pochłonęła ponad 1100 ofiar po stronie palestyńskiej. Efektem było dramatyczne załamanie w bliskowschodnim procesie pokojowym, niweczące jakiegokolwiek nadzieje, że Bush zdoła coś jeszcze uczynić.

I taki stan rzeczy przejął „w spadku” po poprzedniku Barack Obama. Nie ustawał on w krytyce bliskowschodniej polityki Busha – zarzucał republikańskiej administracji nieskuteczność oraz złe rozłożenie akcentów – sprzyjanie przede wszystkim Izraelowi i utratę zaufania strony palestyńskiej/arabskiej. Twierdził, że ani nie pomogło to Izraelowi osiągnąć pokoju, ani Ameryce zyskać sympatii świata islamu. Zapowiadał, że rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego będzie stanowiło jeden z priorytetów jego polityki zagranicznej i osiągnięte zostanie „inną drogą”. Rozbudził więc ogromne nadzieje. Podobnie jak spodziewano się skutecznych działań Waszyngtonu w odniesieniu do wielu innych problemów i wyzwań, wobec których stanęła administracja Obamy, tak samo czekano na konstruktywne propozycje i przełomowe rozstrzygnięcia w konflikcie izraelsko-palestyńskim.

W każdym razie nowy gospodarz Białego Domu uznał, że jego „własna droga” w polityce bliskowschodniej to utrzymanie pewnego dystansu wobec Izraela i większa wrażliwość na racje Palestyńczyków. Oznaczało to głośniejsze artykułowanie punktu widzenia Palestyńczyków oraz popieranie ich postulatów, choćby dotyczących utworzenia państwa palestyńskiego. W odniesieniu zaś do Izraela amerykański prezydent zdecydował się na bardziej krytyczny i kategoryczny ton, zwłaszcza wówczas, gdy żądał wstrzymania rozbudowy żydowskich osiedli na Zachodnim Brzegu Jordanu lub domagał się powrotu Izraela do granic sprzed 1967 r. Ponadto Obama inaczej niż poprzedni prezydenci amerykańscy nie zdołał nawiązać bliskich, osobistych relacji z izraelskim premierem – między Benjaminem Netanjahu a Obamą nie wytworzył się klimat wzajemnego zaufania, zrozumienia i współpracy, raczej więcej było niechęci i dystansu. A przecież wiadomo nie od dziś, jak pomocna w budowaniu pokoju na Bliskim Wschodzie jest kordialna atmosfera na linii amerykański prezydent i premier Izraela.

Zdystansowany stosunek Obamy do państwa żydowskiego wyraził się i w tym, że przez całą swą pierwszą kadencję nie odwiedził on ani razu Izraela, mimo że przebywał „po sąsiedzku” w innych krajach Bliskiego Wschodu, a nawet swe pierwsze i bardzo ważne, bo zawierające istotę jego podejścia do konfliktu bliskowschodniego przemówienie wygłosił w Kairze (w Izraelu potraktowano to jako dyshonor). Takich niezręcznych – z perspektywy Izraela – gestów prezydenta Obamy było wiele. I jakkolwiek na drugiej szali można było wskazać na kontynuowanie przez administrację Obamy strategicznej pomocy dla Izraela w wysokości znacznie powyżej 30 mld dol. rocznie, to jednak te czynniki wydawały się mniej ważyć w ocenie działań amerykańskiego prezydenta.



Przede wszystkim chodziło o reakcje strony izraelskiej. Z tej perspektywy dominowało wrażenie o zdradzie przez Waszyngton interesów Izraela. Formułując w sposób kategoryczny i to przy różnych okazjach oczekiwania wobec państwa żydowskiego, w większości nierealistyczne, gdyż dotyczące bezpośrednio kwestii jego bezpieczeństwa, prezydent Obama – zdaniem Izraelczyków – drastycznie nadwerężył ich zaufanie. Tym bardziej że równocześnie nie tylko artykułował, ale – jak twierdzono – niemal utożsamiał się z punktem widzenia Palestyńczyków. Chociaż takie opinie w dużej mierze wynikały z nadwrażliwości żydowskich mieszkańców Izraela, to jednak dowodziły one powstania sytuacji bez precedensu w relacjach amerykańsko-izraelskich. Prezydent Obama zamiast stworzyć lepsze perspektywy dla procesu pokojowego, tylko wzmocnił dysonans między Waszyngtonem a Jerozolimą. Zamiast wzmocnić swoje możliwości oddziaływania na politykę Izraela, tracił jego zaufanie i nie był w stanie łagodzić kursu polityki Netanjahu wobec Palestyńczyków.

Co gorsza, taktyka Obamy zdawała się ponosić klęskę także po drugiej stronie sporu. Okazało się stosunkowo szybko, że demonstrowana przez administrację Obamy przychylność dla postulatów Palestyńczyków, a zwłaszcza szeroko deklarowane poparcie dla powstania ich państwa, pozostają głównie w sferze retoryki. Z różnych powodów, związanych m.in. z wyborczymi kalkulacjami i troską o głosy proizraelskiego lobby, Obama nie był konsekwentny w popieraniu strony palestyńskiej. Zdecydował się nawet we wrześniu 2011 r. zawetować wniosek Palestyńczyków o członkostwo w ONZ, podobnie zachowała się przedstawicielka USA na forum Zgromadzenia Ogólnego NZ pod koniec listopada 2012 r. (wtedy nie przeszkodziło to już uzyskaniu przez Autonomię Palestyńską statusu państwa nieczłonkowskiego ONZ). Z perspektywy świata muzułmańskiego prezydent Obama okazał się nie tylko nieskuteczny, ale przede wszystkim niewiarygodny, zawiódł zaufanie Palestyńczyków.

Kolejne „zwroty” w polityce bliskowschodniej, tak charakterystyczne dla całej prezydentury Obamy, spowodowały w efekcie, że Palestyńczycy nie mieli swojego państwa, przez długi czas nawet przedstawicielstwa w ONZ, a Izrael utrzymał swą twardą linię działania wobec Autonomii Palestyńskiej i jej żądań. Co więcej, brak było widoków na wznowienie negocjacji izraelsko-palestyńskich. „Własna droga” Obamy okazała się błędna. Z jednej strony bowiem doprowadziła do pogorszenia relacji z Izraelem, co utrudniało wywalczenie jakiegoś kompromisu, z drugiej – rozczarowała społeczność palestyńską/arabską, bo nie przyniosła realizacji zapowiadanych celów.

I jakkolwiek nie można było odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarczać wyłącznie strony amerykańskiej – ani Izrael nie wykazał się pożądaną otwartością na kompromis, ani strona palestyńska nie zamierzała w niczym ustępować – to jednak



taktyczne błędy prezydenta USA miały nieporównywalnie większą siłę rażenia. Komentatorzy byli więc dość zgodni w ocenie bliskowschodniej polityki Obamy: „Nigdzie w polityce zagranicznej Obamy nie ma większej przepaści między tym, co obiecano, a tym, co osiągnięto, niż w odniesieniu do Bliskiego Wschodu” – pisał w 2012 r. Martin S. Indyk, czołowy amerykański ekspert ds. bliskowschodnich.

Najgorsze jednak było to, że bliskowschodni proces pokojowy znalazł się w głębokim impasie; po obu stronach konfliktu słabło poparcie dla jakichkolwiek prób wznowienia negocjacji, a brak zaufania wobec prezydenta Obamy – i to zarówno po stronie izraelskiej, jak i palestyńskiej – jeszcze bardziej komplikował sytuację.

Wprawdzie już na początku drugiej kadencji Obamy w Białym Domu mogliśmy zaobserwować ofensywę dyplomatyczną Waszyngtonu na Bliskim Wschodzie, co było efektem nominacji senatora Johna Kerry’ego, uchodzącego za jednego z największych przyjaciół Izraela w Kongresie, na stanowisko szefa amerykańskiej dyplomacji. W marcu 2013 r. Obama wybrał się ze swą pierwszą jako prezydent wizytą do Izraela. Zaś po serii wizyt w stolicach bliskowschodnich oraz w Izraelu i Autonomii Palestyńskiej sekretarz stanu Kerry zapowiedział w lipcu 2013 r. wznowienie rozmów pokojowych. Kolejnym aktem działań Waszyngtonu było powołanie M. S. Indyka na stanowisko specjalnego wysłannika ds. negocjacji izraelsko-palestyńskich. Biorąc pod uwagę krytyczne uwagi Indyka pod adresem bliskowschodniej polityki Obamy, należało sądzić, że Biały Dom podejmuje zupełnie nowy wysiłek dyplomatyczny w regionie.

Nie wchodząc w dalsze meandry amerykańskiej polityki wobec konfliktu bliskowschodniego, z którymi mieliśmy do czynienia w ostatnich kilkunastu miesiącach (starczy wspomnieć o rezygnacji Indyka ze stanowiska specjalnego wysłannika, wskazującej pośrednio na fiasko jego misji), można stwierdzić, że o wątpliwej skuteczności działań Waszyngtonu świadczy obecna sytuacja na granicy Izraela i Strefy Gazy. Oto na początku lipca 2014 r. nastąpiła eskalacja działań zbrojnych między stroną izraelską a rządzącym w Strefie Gazy terrorystycznym *Hamasem*. Ta część świata znalazła się znowu na krawędzi wojny, której skala trudna jest jeszcze dzisiaj do wyobrażenia. I bez względu na to, kogo należy czynić odpowiedzialnym za wybuch najkrwawszych od kilku lat walk izraelsko-palestyńskich – czy sympatyków *Hamasu*, którzy zamordowali młodych Izraelczyków, czy izraelskich prawicowych radykałów, którzy w odwecie zamordowali młodego Palestyńczyka – szanse na pokój w tym regionie są znowu minimalne, jeśli nie żadne.



Jednak to, co najbardziej zastanawia w tej fazie kryzysu bliskowschodniego, to wręcz znikoma aktywność Waszyngtonu w regionie. Oprócz kilkukrotnych apeli USA do stron konfliktu o zawarcie natychmiastowego rozejmu oraz zaproponowanej przez prezydenta Obamę pomocy w negocjacjach dyplomacja amerykańska nie podjęła żadnych innych działań, przynajmniej oficjalnie. To raczej Egipt stał się głównym mediatorem w konflikcie, co – jak wiadomo – zdarzało się już wielokrotnie w przeszłości, ale najczęściej tym najważniejszym rozgrywającym pozostawały Stany Zjednoczone i to one – wywierając odpowiednią presję i podejmując pewne zobowiązania, także wobec Egiptu – inicjowały „z tylnego siedzenia” kolejne posunięcia. Na tym między innymi polegała kluczowa rola Waszyngtonu na arenie bliskowschodniej w ostatnich kilkudziesięciu latach.

Ta zaskakująca bierność Stanów Zjednoczonych może mieć różne przyczyny – nie chodzi raczej o niechęć administracji Obamy do zaangażowania się w proces doprowadzenia stron do rozejmu. Powodem jest raczej brak tych atutów, którymi administracja amerykańska tradycyjnie dysponowała wobec stron konfliktu bliskowschodniego i które to atuty pozwalały skutecznie wpływać na sytuację w regionie. Tym razem brakuje zaufania do Ameryki prezydenta Obamy, który nie sprawdził się jako sojusznik Izraela, istnieje natomiast pewna nawet osobista niechęć do obecnego gospodarza Białego Domu żywiona przez polityków izraelskich – to w przypadku państwa żydowskiego. Zaś po stronie palestyńskiej/arabskiej jest rozczarowanie co do skuteczności i wiarygodności obecnej administracji amerykańskiej, która wiele zapowiadała, a niewiele zrealizowała i w konsekwencji okazała się „pełna hipokryzji i oszustwa”. Świadomość takiego stanu rzeczy musi mieć administracja Obamy i to w jakiś sposób „wiąże jej ręce”. Tym bardziej że pomimo niekwestionowanych wysiłków sekretarza stanu Kerry’ego, aby ożywić proces pokojowy, postępów nie było.

Obecna faza konfliktu bliskowschodniego jest więc z jednej strony potwierdzeniem fiaska amerykańskiej polityki w tym regionie, z drugiej zaś – doskonałym dowodem, jak niewiele administracja Obamy może teraz uczynić, aby doprowadzić ponownie Palestyńczyków i Żydów do stołu negocjacyjnego.

Warto zatem w tym miejscu postawić pytanie, czy nie jest to odpowiedni moment, aby swą rolę na arenie bliskowschodniej silniej zaznaczyła Unia Europejska. Aby w sytuacji, gdy Ameryka nie czuje się na siłach, to ona podjęła trud mediacyjny? Tym bardziej że mieliśmy już do czynienia z precedensem. To państwa europejskie (Wielka Brytania, Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania i Czechy) odegrały rolę mediatora i doprowadziły do podpisania porozumienia kończącego w styczniu 2009 r.



wojnę w Strefie Gazy. Na razie UE, podobnie jak Ameryka, ograniczyła się do apeli o zawieszenie broni i ochronę ludności cywilnej.

Wprawdzie instytucje unijne znajdują się obecnie w fazie trudnej – kompletowania swojego składu, jednak moment jest wyjątkowy. Czas najwyższy, aby Unia Europejska sprawdziła się jako ważny gracz na scenie międzynarodowej. Mimo wszystko nie jest obciążona – w takim stopniu jak Stany Zjednoczone – przykrymi dla świata muzułmańskiego doświadczeniami, a raczej tradycyjnie służyła gospodarczym i finansowym wsparciem, choćby Autonomii Palestyńskiej. Może warto to teraz zdyskontować, wywierając presję, aby doprowadzić strony do rozejmu, a następnie inicjować rozmowy pokojowe. A przynajmniej włączyć się w wysiłek mediacyjny. Na to Unia Europejska, nawet chwilowo pozbawiona wyrazistego przywództwa, powinna się zdobyć.

Tezy zawarte w tekście wyrażają jedynie opinie autora.

Jadwiga Kiwerska – prof. dr hab., pracownik Instytut Zachodniego i WSNHiD w Poznaniu, historyk i politolog, specjalista w zakresie stosunków międzynarodowych, zwłaszcza polityki amerykańskiej.

70^{LAT}
IZ

Instytut Zachodni
1944-2014



Biuletyn Instytutu Zachodniego • www.iz.poznan.pl 6